ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 15. Sierpnia 1893. Nr. 16.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

U grobu świętego Wojciecha.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy.)

V.

Grób św. Wojciecha.

Wśród uczt, w których król Bolesław zawsze występował ze zdumiewającym Niemców przepychem, choćby to nawet było wśród puszczy lub w jakiej wioszczynie, z kilku ledwie chat złożonej, i zawsze biesiadników obdarzył bogato; wśród ciągłych łowów na zwierza z sokołami lub psami, których całe gromady ciągnęły za obozem, wśród gonitw i zabaw, zbliżono się już w wielkim poście do Gniezna. Tuż prawie pod tym grodem, w odległości paru zaledwie mil od niego zatrzymano się późną już nocą, w małym gródku, zwanym Czerniejewo, gdzie przygotowywano się do uroczystego nazajutrz wjazdu do starej stolicy polskiej. Niemira, komornik królewski, wysłał zaraz gońca do biskupa Ungera z doniesieniem, że goście jutro rano ruszą z pielgrzymką do grobu świętego Wojciecha, żeby więc wszystko było przygotowane jako należy.

Dzień nazajutrz zrobił się prześliczny. Wiatr zachodni przyniósł ciepło i w powietrzu czuć było zbliżającą się wiosnę. Lasy zieleniały od sosen, śniegi znikły, skowronek co chwila zrywał się z pól i wisząc na czystym błękicie, ćwierkał wesoło. Słońce wspaniale wypłynęło na niczem nie zamącone niebo i oświeciło ogromny orszak dwóch monarchów i gwar ich obozowisk, które zwijano, i powoli wyruszono szerokim piaszczystym gościńcem do Gniezna.

Na samym przodzie jechał na swym białym koniu cesarz Otton, jak zawsze chmurny, poważny i milczący, ubrany w dalmatykę złocistą, w takiż hełm z koroną u szczytu i miecz przy boku. Na nogach miał białe sandały szyte złotem i koń okryty był kapą złotą, na której posiane były czarne cesarskie dwugłowe orły, herb, jaki przyniosła z bizantyńskiego Carogrodu matka cesarska Teofania.

Obok cesarza na ciemnym rumaku, zakutym w zbroję srebrzystą, posuwał się wolno i ciężko król Bolesław, w kołpaku bobrowym na głowie i z czaplem piórem, spiętem olbrzymią gwiazdą z

drogich kamieni. Król miał na sobie płaszcz karmazynowy, na którym wyszyto gęsto srebrne, jednogłowe, Lechowe orły; pod płaszczem pancerz w karpią łuskę i żupan z bławatu, przepasany złotym łańcuchem, u którego wisiał mały puginał. Młode pacholę niosło za nim hełm i wielki, obnażony miecz; a chorąży dźwigał ogromną purpurową chorągiew z takimże orłem jak na płaszczu.

Po lewej ręce cesarza niemieckiego jechał na karym koniu, zakutym w czarną szmelcowaną zbroję, król czeski Bolesław Rudy, zgarbiony nieco, niespokojny, rzucający dokoła niespokojnie małemi, zielonemi oczami. Miał on na sobie płaszcz złocisty, gronostajami podbity, czarny, żelazny hełm na głowie, pełen piór i paciorków, kusy żupan czerwony, obcisłe pół czarne, pół żółte spodnie i czerwone buty, niskie, z cholewkami odwiniętemi i długimi nosami. U boku wisiał mu prosty, niemiecki miecz.

Za monarchami, na mułach bogato i pstro przybranych, posuwało się czterech kardynałów w purpurze i mnóstwo panów i wojewodów niemieckich, czeskich i polskich, wszyscy na dzielnych koniach, zakuci w zbroje, strojni w bławaty. Za tym orszakiem świetnie błyszczącym posuwały się wojska, rycerstwo i służba.

Posuwano się po piaszczystej drodze bardzo wolno, tak że słońce już było wysoko, gdy na błękicie zarysowały się dwie smugłe, wysokie wieże gnieźnieńskiego kościoła. Kryte one były miedzianą blachą, która nie mając jeszcze czasu zczernieć, błyszczała pod słońce jak roztopione złoto. Wielkie krzyże, umieszczone na nich, błyszczały niby gwiazdy promieniste.

Cesarz ujrzawszy te wieże, polecił tłómaczowi Obotrycie zapytać się Chrobrego, coby to było za miasto? czy nie jest to czasem Gniezno?

— Powiedz cesarzowi — rzekł Chrobry — że tak. Ztąd będzie jeno o ćwierć mili do Gniezna.

Gdy Obotryta powtórzył cesarzowi tę odpowiedź po niemiecku, w oczach Ottona zajaśniała radość i nagle zatrzymał konia i rozkazywał coś giermkowi swojemu, który za nim jechał. Ten natychmiast zeskoczył z konia, podbiegł do cesarza i pomógł mu zejść na ziemię.

Otton zdjął z głowy hełm i oddał go giermkowi i stał tak przez chwilę z gołą głową, okrytą bujnymi czarnymi włosami, i patrzał na błyszczące wieże Gniezna, na długi piaszczysty gościniec, na niebo polskie, które zdawało się cichym, uroczystym namiotem z błękitu okrywać nowego cezara i jego losy.

Po chwili jednak spostrzegłszy, że Chrobry i Rudy, oraz część orszaku także zsiada z koni, skinął na giermka i wydał mu nowy rozkaz. Giermek przyklęknął i zdjął z nóg Ottonowych białe sandały, poczem cesarz został boso. Gdy to Bolesław ujrzał, zwrócił się do swego orszaku i zawołał donośnym głosem:

— Niemira, czyń, com ci rozkazał!

Wtedy z tłumu wypadł wózek zaprzężony w cztery dzielne konie, na którym leżały zwinięte całe góry, rzecby można, czerwonego sukna i siedziało dwóch młodych parobków w świtkach białych i wścieklicach. Wózek pędem okrążył grupę monarszą, wypadł na gościniec i zaraz też parobcy poczęli odwijać sukno czerwone, które spadając z wózka kładło się na gościńcu, jak purpurowa ścieżka. Otton, Rudy i wszyscy panowie niemieccy patrzeli zdumieni na ten nowy objaw bogactwa i grzeczności polskiej, a Chrobry, pokręcając wąsa, mówił do Obotryty:

— Powiedz cesarzowi, by raczył wstąpić na tę ścieżkę, która go zaprowadzi aż do kościoła gnieźnieńskiego i grobu św. Wojciecha.

Cesarz wysłuchawszy słów Obotryty nic nie odrzekł, tylko zapatrzony w wieżyce gnieźnieńskie ruszył naprzód i szedł już ciągle po suknie czerwonem, które z wózka pędzącego przodem i niknącego już w tumanach kurzu, ciągle spadało jak krwawa struga. Wszyscy też zeszli z koni i towarzyszyli cesarzowi. Wielu

rycerzy niemieckich zdjęło za przykładem cesarskim hełmy z głowy i obuwie z nóg i modląc się, a bijąc w piersi, przyklękując nawet na drodze, posuwali się naprzód. Chrobry także szedł pieszo, a że był ogromny i tłusty, pocił się mocno i głośno oddychał i zdawał się z upragnieniem oczekiwać końca tej pielgrzymki. Swe wielkie nogi ledwie wyciągał z głębokiego piasku gościńca, i pot kroplisty spływał mu po szerokiej twarzy. Zdjął w końcu płaszcz i szedł tylko w pancerzu i żupanie. Słońce dopiekało mocno i z pod nóg tylu ludzi i koni wzbijał się ogromny tuman kurzu i wznosił się jak szaro-mętna płachta nad długim orszakiem monarchów.

Wkrótce zbliżono się do Gniezna tak, że ujrzano tulące się pod górę kościelną miasteczko i gródek, dokoła otoczony wałem z ziemi i głazów polnych, najeżony częstokołem. Zaraz też rozległ się odgłos dzwonów, zawieszonych na obu wieżach kościelnych. Poważny dźwięk rozchodził się daleko, płynął po niwach i rozbijał się o wieniec silnych lasów, jakie ograniczały dokoła widnokrąg. Gdy wstąpiono w ulicę miasteczka, pojawił się nagle Biskup Unger w infule, z pastorałem w ręku, otoczony duchowieństwem niosącem świece zapalone i tłumem ludu. Księża śpiewali psalm i kadzielnicę nieśli, z której wzbijał się kłębami dym wonny i otaczał jak gdyby obłokami poważną postać Biskupa Ungera. Ten spostrzegłszy cesarza, wciąż idącego z gołą głową i boso, zbliżył się do niego i gadał coś długo po niemiecku, potem dał Ottonowi krzyż do pocałowania, pobłogosławił go, pokropił wodą święconą i prowadził wśród uroczystych śpiewów, wśród bicia w dzwony, pod górę do kościoła.

Kościół był wspaniały. Wzniesiony z ciosu na górze, miał po bokach dwie wysokie wieże, a w środku wejście o kolistych łukach kamiennych, suto rzeźbionych w liście i dziwaczne zwierzęta. Widać było przez drzwi ciemną głąb świątyni, zalaną blaskiem licznych świateł, odbijających się w złotych i srebrnych ozdobach.

A dzwony wciąż brzmiały z wież i śpiew księży się rozlegał, dym wonny się wznosił. Biskup wprowadził nakoniec Ottona do kościoła, a za nim wkroczyli dwaj Bolesławowie i rycerstwo i przyklękli i modlili się. Cesarz ruszył do grobu św. Wojciecha, gdzie w srebrnej trumnie spoczywało ciało męczennika. Tu padłszy twarzą na kamienną posadzkę z rozkrzyżowanemi rękami, leżał tak długo i modlił się i płakał tak rzewnie, że trząsł się cały. Wszyscy się rozrzewnili tym widokiem i płakali także — i nie było słychać, jeno odgłos dzwonów, śpiew księży i płacz monarszy i rycerstwa.

Gdy się te modły i nabożeństwo skończyło, cesarz powstał i począł oglądać sam kościół i jego bogactwa. A było tu co oglądać zaprawdę. Bogactwo, jakie tu widać było na każdym kroku, olśniło cesarza, który przecież oglądał wspaniałe rzymskie świątynie.

Przedewszystkiem zaprowadzono cesarza do olbrzymiego krzyża, ulanego ze szczerego złota, który ważył trzy razy tyle co sam król Bolesław. A że ten ostatni był mężem wielkiego wzrostu i tłusty bardzo, tedy cesarz usłyszawszy to zdumiał się niezmiernie, i stał niemy przed onym krzyżem, zapatrzony w niego, rozmyślając nad czemś pilno i kiwając głową. Nareszcie rzekł:

— Zaprawdę, nic podobnego nie widzieliśmy.

A ileż tam było jeszcze innych bogactw, kielichów złotych, monstrancyi błyszczących jak słońce, kobierców, kortyn z dalekiego Wschodu sprowadzonych, cudnie tkanych złotemi i srebrnemi nićmi. Wszystko to Otton obejrzał i milczał i rozmyślał nad czemś poważnie i głęboko.

Jeszcze raz pomodliwszy się u grobu św. Wojciecha, cesarz wyszedł z kościoła i zaprowadzony został do zamku, stojącego w pobliżu, gdzie czekała nań i na jego orszak wspaniała i obfita uczta. Na chwilę Otton schronił się do przeznaczonej sobie komnaty, żeby się prze-

brać i zdjąć ze siebie ciężką zbroję, co uczynił także Chrobry i większość rycerstwa, a tymczasem dworska służba zastawiała ucztę. Ale król przyszedł, przyszedł i Rudy i wszyscy rycerze, a Ottona nie było. Król począł się niecierpliwić, zwłaszcza że stolnik królewski narzekał, że mięsiwa się wysuszą i przepalą, i Bolesław miał już słać kogo, by się dowiedzieć, jaka jest przyczyna opóźnienia cesarskiego, gdy zbliżył się Stojgniew i szepnął:

— Miłościwy panie, tu się coś święci.

— Jakto! — zawołał żywo król — czy myślisz Stojgniewie, że cesarz umyślnie się opóźnia?

— Tak myślę, miłościwy panie.

Bolesław jeszcze raz bacznie spojrzał na swego powiernika, jak gdyby chciał w oczach jego wyczytać tajemnicę, i rzekł:

— Gadaj, co wiesz.

— Przedewszystkiem, miłościwy panie, mówmy cicho — szepnął Stojgniew — bo tu setki uszów słucha, a potem ja nic nie wiem.

Król, który był zawsze bardzo zły, gdy był głodny, a teraz właśnie po podróży i długiem nabożeństwie jeść mu się ogromnie chciało, rozgniewał się mocno temi słowami Stojgniewa. Twarz mu się zaczerwieniła, kark zfałdował się jak u lwa, a oczy ciskały błyskawice.

— Na Boga — zawołał — odpowiesz mi za te kpiny.

Ale Stojgniew nie zmięszał się wcale, jeno pochylając swą suchą, małą głowę, szepnął:

— To nie są żadne kpiny, miłościwy panie. Racz jeno obejrzeć się i rzeknij mi, czy widzisz tu kardynałów? czy widzisz owych dwóch rzymskich panów, co cesarzowi towarzyszą? czy widzisz nakoniec brata margrafowego Ekkiharda?

Król, jak był skory do gniewu, tak i prędko się uspokajał. Obejrzał się, obrzucił tłum oczami i rzekł:

— Prawdę mówisz, ich tu nie ma.

— Czy zauważyłeś, miłościwy panie, — ciągnął dalej Stojgniew — jako cesarz, oglądając skarby i wspaniałości kościoła, był zamyślony, jak gdyby wielkie rzeczy w głowie ważył.

— Prawda, widziałem to.

— Otóż, miłościwy panie, w tem się coś kryje i będziemy mieli tutaj coś nowego.

— Ale co? co?

— Nie wiem, miłościwy panie, i odgadnąć nie mogę. To pewna, że cesarz dla tego opóźnia się na ucztę, że w jego komorze toczy się ważna jakaś narada. Sam widziałem, jak szli doń wezwani przez komornika cesarskiego kardynałowie, jak szedł Ekkihard i trzech czy czterech wojewodów niemieckich, których nazwiska nie wiem.

Król słuchał tego i wiadomość ta na nim widocznie silne wywarła wrażenie. Stał zapatrzony w Stojgniewa, i brodę w palcach miął i rozrzucał i kręcił się niecierpliwie.

— Dobrze mówisz, Stojgniewie — rzekł nakoniec — tu się coś święci. O czemby oni radzili?

— Dowiemy się o tem z czasem, a teraz należy się mieć na baczności. Otóż i cesarz.

Jakoż uchylono ciężkiej zasłony i ukazał się komornik cesarski, wołając po niemiecku, że cesarz idzie. Za nim wkrótce pojawił się sam Otton, ubrany w długą białą suknię, w modre opięte spodnie, żółte sandały, przepasany złotym łańcuchem, u którego wisiał mały puginał. Na piersiach cesarza błyszczał także łańcuch, pełen drogich kamieni, a na głowie, na czarnych, rozpuszczonych na ramiona włosach, świeciła maleńka, śliczna korona. Otton szedł wolno, poważnie, otoczony kardynałami i wojewodami niemieckimi i siadł na pierwszem miejscu przy stole i spoglądał dokoła zimnym, przenikliwym wzrokiem.

(Dokończenie nastąpi.)



ARABKA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 256.)

URYWEK Z „FLISA,"

POEMATU SEBASTYANA KLONOWICZA.[1])

Każdy w granicach ojczyzny swej chleba
Może dostawać, ile mu potrzeba,
Może zaniechać morskiej nawałności
K'woli żywności.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie;
Może niewiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Tu Ceres[2]) nową osadziła wolą
Opuściwszy tam Sycylijską rolą;
Tu żyta rodzi niezliczone łaszty,
Brogi jak baszty.

Tu gumna w szczyrych polach stoją hojne,
Tu wzór bogaty, tu żniwa spokojne,
Tu chłopek wesół, bo pewnie ma wszytko,
Kiedy ma żytko.

Niech kto chce chwali Azyą urodną,
Niech chwali Egipt i Nilowę płodną
Socznicę: Polska ma dosyć owszeki,
Choć w brzegach rzeki.

Tu zwierza dosyć, tu bydło rogate,
Tu woły tuczne i owce kosmate,
Pasą się w łąkach jałowice tłuste
I kozy puste.

Ztąd ma gospodarz i sprzężą do pługa,
Ztąd ma odzieżą pan i dobry sługa,
Ztąd mięso świeże, nabiału dostatek,
W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łęgu szczebietliwych,
Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych;
W domu obfitość sadowi się wszędzie
Kurów po grzędzie.

Lecz też do stołu nielada potrawy
I gołębiniec rodzi nam dziurawy;
Połcie też w domu z niemałą pociechą
Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane
Hojnym Polakom od Boga są dane,
A kto je sobie chce dobrze uważyć,
Może ich zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,
Po drzewie ptastwo igra sobie wartkie,
Do barci niosą pracowite roje
Zdobyczy swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody
Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brody.
Owa Polakom na niczem nie schodzi,
Wszystko się rodzi.

Chocia Bańskich[3]) miast nie mamy, nic o to,
Samo do ręku przychodzi nam złoto;
Za chlebem idą, Lachom nie nowina,
Półkufki wina.

Przetóż już niewiem, czemuś wżdy tak chciwy
Polaku bracie! mając takie niwy;
Czego wżdy szukasz w dalekim powiecie
Na nowym świecie.

Niewiem, zkąd ci to przyszło, żeś tak śmiały,
Iż opuściwszy na lądzie grunt cały
Jąłeś się pływać po Wandzinej[4]) wodzie
Często ku szkodzie.

[1]) Sebastyan Klonowicz urodził się w r. 1551 w Sulmierzycach w Poznańskiem, a umarł 1608 r. Pod koniec życia znalazł przytułek w szpitalu u Jezuitów w Lublinie, — u tych samych Jezuitów, których przedtem w swych pismach tak namiętnie zaczepiał, — i tam też umarł. O poecie tym podaliśmy szerszą wiadomość w »Świetle,« rocznik 2 z roku 1888, nr. 4 str. 118.

[2]) Bogini zboża.

[3]) Bańskich miast: węgierskich miast (Banat, Ban). W Węgrzech z ziemi wydobywają złoto, my je zaś za nasze zboże dostajemy; u nas wino się nie rodzi, ale za nasze zboże je sprowadzamy.

[4]) Wiślnej.

Z DAWNYCH DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

Wszyscy, którzy prześladowali chrześcian, okropny koniec mieli.

Ostateczna kara za grzechy spotka winowajców na drugim świecie, tam dopiero sprawiedliwość Boska odda w zupełności dobrym nagrodę a złym to, na co zasłużyli. Lecz czasem i tu na ziemi Bóg wymierza sprawiedliwość. Straszliwe nieprawości i haniebne okrucieństwa, jakie cesarze rzymscy popełniali na chrześcianach, otrzymały już w doczesności część kary zasłużonej. Jako krew Abla, niewinnie zamordowanego, wołała o pomstę do nieba, tak i krew

męczenników wołała ku niebu, oskarżając tyranów, którzy się okryli występkami.

Już koniec pierwszego cesarza, który wydał chrześcian na pastwę wściekłemu pospólstwu, Nerona, był wyraźnym palcem bożym dla tych, którzy chcą widzieć palec boży w dziejach świata. Neron panował 14 lat, a w tym czasie tak był znienawidzonym u wszystkich narodów, że Galbę, naczelnika Hiszpanii, stawiono jako cesarza przeciw niemu. Neron, dowiedziawszy się o tem, stracił wszelką przytomność i uciekł w nocy bez wszelakiej pomocy na wieś jednego ze swych niewolników, któremu był wolność podarował. W drodze paliło go pragnienie, a wtenczas musiał pić z kałuży przy drodze, on, któremu żadne drogie wino nie było dość dobrem i smacznem. »Czy to są wyborne napoje Nerona?« westchnął, kiedy chłypał wodę śmierdzącą. Na drugi dzień otrzymał wiadomośc, że senat nie tylko go odsądził od godności cesarskiej, lecz że go skazał na śmierć przez biczowanie. Wnet też zobaczył ludzi szukających go. Ze strachu chwycił za sztylet i odebrał sam sobie życie, właśnie w tym samym dniu w którym kiedyś zamordował matkę swoję. Tak skończył ów potwór.

Cesarz Domicyan, który też okrutnie prześladował chrześcian, nie tylko kazał zamordować wielu znamienitych chrześcian, lecz często sam uczestniczył w katowaniu i cieszył się z męczarni swych ofiar. Chciał kazać zabić swoję własną żonę, lecz takowa dowiedziała się o tem i kazała sama słudze zabić cesarza. Sprawdziło się na nim przysłowie: »Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada«.

Cesarz Trajan umarł wprawdzie śmiercią naturalną; lecz umarł po wojnie, z której nie było pożytku dla kraju, zdala od domu i stolicy państwa, w głębi Azyi, i tylko ciało jego przywieziono do Rzymu.

Cesarz Hadryan umarł niedługo potem, kiedy kazał zamordować ś. Symforozę ze synem, w Tiwoli, miejscu zamordowania świętej, gdzie właśnie przebywał. Nie był chory właściwie, a jednak skarżył się na okropne boleści, a był przytem tak gniewliwy, że najbliższe jego otoczenie nie było pewne życia. Starał się kilka razy zabić sam siebie i innych do tego namawiał, aby go zabili, aby się cierpienia jego nareszcie skończyły; lecz nikt nie chciał tego uczynić. W rozpaczy skarżył się, że ma mniej mocy nad własnem życiem aniżeli nad życiem innych. W końcu zaczął jeść nad miarę i pić i umarł śmiercią istnie zwierzęcą.

Markusowi Aureliuszowi życie stało się tak nieznośnem, że nie jadł i z głodu umarł. Stało się to właśnie wtedy, kiedy we wojnie przeciw Markomanom rozłożył obóz pod Wiedniem.

Cesarz Septimiusz Sewerus umarł także podczas wyprawy wojennej ze smutku, ponieważ syn jego własny chciał go zamordować.

Cesarz Maksymin w biały dzień został zamordowany w namiocie przez swych żołnierzy.

Decyusz dostał się podczas wojny nad Dunajem ze synem w błota, z których nie mógł się wydostać, i marnie zginął.

Najokropniejszy koniec miał cesarz Waleryan, za którego czasów św. Wawrzyniec poniósł śmierć męczeńską. Za jego panowania wpadł król perski Sapor do cesarstwa rzymskiego i doszedł do Antyochyi. Waleryan ruszył przeciw niemu, lecz pod Edessą został pobity. Teraz chciał się ugodzić z królem perskim, na co tenże przystał. W zdradziecki sposób napadli Persowie na Waleryana i pojmali go w niewolę, okuli w kajdany, zostawiono mu jednak szaty cesarskie, aby go tem więcej upokorzyć. Kiedy Sapor siadał na konia, musiał się Waleryan schylić ku ziemi, a dumny król perski wstąpił nogą na jego barki, aby dosieść konia. Po dziesięcioletniej ciężkiej niewoli, kazał z niego żywcem skórę drzeć, a ciało potem trzeć solą. Musiał Waleryan wycierpieć część męczarni, na jakie skazywał chrześcian, lecz nie pomagała mu łaska boska, która osładzała cierpienia męczennikom.

Syn Waleryana, cesarz Galleniusz, musiał walczyć z wielką liczbą współ-

zawodników, którzy wszyscy pragnęli tronu cesarskiego. Kiedy oblegał jednego z przeciwników w Medyolanie, został zamordowany przez własnych żołnierzy razem z bratem i dziećmi.

Cesarza Aureliana zamordował jego sekretarz.

Dioklecyan wprawdzie nie stracił życia przez innych. Lecz dostał takiej słabości i choroby, że śmierć byłaby mu była przyjemniejszą aniżeli takie życie. Dręczony ciągłym niepokojem, przenosił się z miejsca na miejsce i prawie żadnego pożywienia nie przyjmował. Ani godziny nie mógł spać spokojnie; często płakał jak dziecko, to znowu popadał we wściekłą rozpacz. Tak szalał, że się tarzał po ziemi, ryczał i rzucał się jak szalony. W końcu nie przyjmował żadnego pokarmu i umarł z głodu.

Maksymian równie jak Dyoklecyan tylko z przymusu złożył panowanie i znowu gwałtem chciał je odzyskać. Córkę dał za żonę cesarzowi Konstantynowi i chciał ją namówić, aby go tajemnie wpuściła do sypialni Konstantyna, aby go mógł zabić. Lecz córka zdradziła mężowi brzydki zamiar ojca, który kazał się innemu położyć w swoje łóżko, a Maksymiana wpuścić. Maksymian rzucił się też rzeczywiście na leżącego i zamordował go. Wtem kazał go pochwycić Konstantyn, który w przyległej izbie czekał na koniec sprawy, i oświadczył mu, że musi umrzeć, lecz że może sobie wybrać rodzaj śmierci. Maksymian wybrał stryczek i sam się powiesił.

Galeryusz dostał w ośmnastym roku panowania nieuleczalną i brzydką ranę, z której powstał rak gryzący. Cała rana i ciało naokoło gniły. Leki pogarszały chorobę, która wchodziła w ciało i we wnętrzności. Tam powstała kupa małych robaczków, a z ciała wychodził tak okropny smród, że z tego zaraził się nie tylko cały pałac cesarski, lecz i cała część miasta Sardyki, gdzie tyran przebywał. Żadne leki, żaden wynalazek nie mógł choroby przemódz. A jeszcze dziwniejszem było to, że chociaż choroba tak gwałtownie się szerzyła, to jednak przeszło rok trwała. Tajne sztuki kapłanów pogańskich, jakich używano, na nic nie pomogły i jeszcze więcej dręczyły chorego, który w rozpaczy nie wiedząc, na kim się mścić, lekarzy swych zabić kazał w głupocie. Ledwo kogo można było znaleść, ktoby się był chciał zbliżyć do niego i znieść smród. Ciało jego znajdowało się w stanie okropnym. Całe piersi i ciało naokoło rany były tak chude i okropne, że było podobno do szkieletu powleczonego skórą. Od rany aż do stóp nie było nic widać, jak dwa długie węże opuchłe. W tym mizernym stanie tak mu poszło jak Antiochowi Syryjczykowi. Wołał do Boga chrześcian, którego prześladował, i obiecywał mu, że skoro wyzdrowieje, to mieli chrześcianie swobodnie żyć według swej wiary, a kościoły zburzone sam chciał odbudować. Lecz i z nim stało się jak z Antiochem i nie znalazł łaski przed Bogiem i wyzionął brzydką duszę, kiedy całe ciało zgniło i kawałami odpadło.

Cesarz Maksymin też nie miał cesarskiego końca. I jego spotkała zasłużona kara jako wroga Boga, bo bicz Boży trafił go od razu na całem ciele. Tarzał się na ziemi dręczony okropnemi boleściami. Prawie z głodu umierał, a całe ciało rozpadało się niszczone ogniem niewidzialnym, zesłanym przez Boga. Wszelkie ślady dawniejszej jego postaci znikły i pozostał tylko szkielet kościty, wysuszony długiemi suchotami. Obecni uważali ciało jego tylko jako grób duszy pogrzebanej w ciele już umarłem i całkiem zgniłem. Ponieważ gorączka wewnętrzna trawiła go aż do szpiku kości, to oczy wystąpiły i wypadły ze swych jam i całkiem zaniewidział. Lecz jeszcze było życie w nim. Ślubując Bogu, błagał o śmierć. W końcu wyznał, że to zasłużona kara za okrucieństwa względem chrześcian i umarł.

Tak spełniało się słowo apostoła: »Objawia się gniew Boga z nieba nad wszelką bezbożnością i niesprawiedliwością ludzi, którzy powstrzymują prawdę boską przez niesprawiedliwość«.



ŚMIERĆ SEBASTYANA KLONOWICZA.

PRAWDA CZY BAJKA?

Co rok nieomal, w czasie największych upałów, przelatuje przez wszystkie gazety dziwna wieść, że podróżujący na tym lub owym okręcie widzieli dnia tego a tego na własne oczy ogromnego potwora — węża morskiego! Czytający, przywykli prawie do tego, jak do chleba codziennego, naturalnie nie wierzą, żeby to było prawdą, i przypisują to odkrycie nieznanego potworu wymysłowi rozbujałemu gazeciarzy, chcących w jakibądź sposób zapełnić łamy pisma niezwykłemi wiadomościami, nie troszcząc się wcale o ich prawdziwość. Są jednak i tacy, i to ludzie uczeni, badacze natury, którzy przypuszczają, że w tych legendowych wieściach, powtarzających się od wieków, od czasu, kiedy jeszcze nie istniały gazety, musi być zawarta jakaś prawda, lub przynajmniej jakie prawdopodobieństwo. Jedni mniemają, że przypadki, w których z całą stanowczością twierdzono, że widziano na własne oczy zagadkowe zwierzę, polegają na prostem złudzeniu, wywołanem przez niezwykłe oświetlenie morza, że napotykane na oceanach wielkie masy roślin morskich, powikłanych i zbitych w jednę całość o długim kształcie, lub płynące zwartym szeregiem delfiny i t. p. mogą na wielką odległość łatwo oko patrzącego zmylić i uchodzić za płynącego węża. Co się zaś tyczy północnych oceanów, to niezawodnie widok znachodzących się tamże atramentnic czyli ośmiornic (zob. nr. 16 »Światła« z r. 1892, str. 250) posiadających tułów długości 3 do 4 metrów i ramiona, podobne do wężów, aż do 13 metrów długie, może również zwrok łudzić i wywołać przekonanie, że się widziało potwornego węża. Nawiasem powiedziawszy, małe a trujące i do płazów ziemnych podobne węże morskie nie wchodzą tu wcale w grę.

Co prawda, ludzie spędzający cały swój żywot na morzu i wystawieni na łup ogromnego potworu wśród rozhukanych fal bezdennego nieomal żywiołu, mają jakoś mniej obawy przed tem legendowem zwierzęciem niż ludzie żyjący na stałym lądzie. Są oni wprawdzie bardzo zabobonni, ale śmieją się z takich i tym podobnych płodów rozgorączkowanej wyobraźni »szczurów lądowych«, jak nazywają w przeciwieństwie do siebie mieszkańców stałego lądu.

Ale z przeproszeniem, tak zupełnie z palca nie wyssano sobie istnienia nieznanego zwierza. Niedawno temu wielki uczony wiedeński i niepośledni znawca wszystkiego, co zamieszkuje morskie głębiny, zadał sobie wiele pracy około zbadania wspomnianego okazu zwierzęcia, ożywiającego morskie tonie, i nabył z całą powagą przekonania, że nauki przyrodnicze nie mają wcale powodu powątpiewać o możliwości znachodzenia potworów o ogromnych rozmiarach nie tylko w morzach cieplejszych, ale i w blizkości wybrzeża szwedzkiego. Przed niespełna stu laty uważano tych ludzi za waryatów, którzy śmieli twierdzić, że z nieba spadują na ziemię kamienie, ba, nawet całe skały. Dopiero kiedy w roku 1826 pewien uczony badacz, również Wiedeńczyk, napisał osobną książkę o tem i udowodnił to naukowo, wtedy pokazało się, że takich, którzy widzieli, jak kamienie z nieba spadały, było bardzo wielu. Przedtem nie dowierzał nikt swym zmysłom, choć na własne oczy widział zlatujące kamienie, i wstydził się o tem mówić przed drugimi, a potem sprawa ta stała się arcypewną, oparłszy się na naukowych podwalinach.

Podobne uprzedzenie panuje od dość dawna wobec węża morskiego, którego przecież tylu i tylu wiarogodnych ludzi widziało. Sprawdzeniem, czy wąż morski istnieje lub czy rozsiewane o nim wieści należy uważać za bezpodstawne bajki, zajmował się między innymi także uczony badacz niederlandzki Ondemans, który wszystko, co w tym względzie dochodziło jego uszu, spisywał, odłącza-

jąc pszenicę od plew. Opierając się na jego badaniach, uczony wiedeński twierdzi prawie z pewnością, że wąż morski nie jest jedynie płodem wyobraźni, lecz że w istocie istnieje!

Porównawszy ze sobą wszelkie krążące o wężu tym wieści, uczony ten doszedł do następnego rezultatu. Potwór morski ma około 80 metrów długości i 7 metrów szerokości, jest zatem daleko większym od wieloryba. Sama głowa jest 3 metry długa i 2 metry szeroka; sam ogon dochodzi 40 metrów długości. Pletwy mają odpowiednie rozmiary, jedna z przednich pletw jest podobno aż 5 metrów długa. Podczas gdy dotąd potwora tego przedstawiano sobie w kształcie ryby lub rzeczywistego węża, Ondemans sądzi, że to jest foka (pies morski) olbrzymich rozmiarów. Podróżnicy morscy z dawnych czasów opowiadają, iż pysk tego zwierzęcia jest zaopatrzony w wąs zawiesisty i że ma na karku grzywę zupełnie jak lew morski. Potwór morski jest koloru ciemnobrunatnego, podgardle i brzuch zaś nieco jaśniejsze.

Dotąd zauważono węża morskiego najczęściej w oceanie atlantyckim, ztąd jednak nie wypływa wcale, jakoby wąż tylko w tych okolicach zachodził. Jest to tylko dowodem widocznie żywego ruchu okrętowego, jaki na tym oceanie panuje. Na morzach podbiegunowych, lodowatych, nikt potworu tego jeszcze nie widział, a że go na wybrzeżu norwegskim widziano, więc należy przypuszczać, że często płynie z ciepłym prądem golfickim, zmierzającym w tę stronę. Chcąc zaczerpnąć powietrza, wytyka z wody swój łeb kolosalny, osadzony na długiej szyi, i to jest powodem, dla czego tę część ciała najczęściej widziano, chociaż jedni upatrywali w niej podobieństwo bądź to do łba węża, bądź węgorza, bądź wreszcie — najczęściej — do łba foki. A nie oglądali go na własne oczy tylko zabobonni i nieoświeceni majtkowie, o nie, lecz inteligentni oficerowie i nieuprzedzeni kapitanowie, którzy mimo zaniepokojenia, jakie ukazanie się potwora naturalnym sposobem wywołało, taki przy spotkaniu się z nim zachowali spokój, iż zdołali natychmiast ołówkiem rysy głowy jego rzucić na papier, naturalnie, o ile się to dało. Czyżby wszyscy ci ludzie mieli być tylko ofiarą niewytłomaczonego złudzenia? Cóż w takim razie powiedzieć na to, że widziany obraz węża morskiego miał w ogólności jeden i ten sam prawie kształt i jednę wielkość?

Z reszty jego olbrzymiego tułowia, kryjącego się w nurtach morskich, widziano tylko tu i owdzie po kawałku. Wyciągnięta tylna część ciała musi się oczywiście wić wężykowato i bujać bezustannie w wiecznie niespokojnych wodach oceanu i to naprowadziło ludzi na przypuszczenie, że widzieli węża.

Oto wyniki badania, których uczony mąż nie waha się wcale rozgłaszać z całą powagą sumiennego badacza. W ogóle wziąwszy, jest to niby trochę mało, ale to też tylko początki i podstawa do dalszej pracy na tem polu. Potrzeba tylko, aby się zagadkowy potwór jeszcze raz ukazał, i to w sposób nie pozostawiający żadnej już wątpliwości o swem istnieniu. Można się spodziewać, że wtedy rozstrzygnie się ostatecznie, co w głoszonych o nim wieściach jest prawdą, a co bajką, wymysłem ludzkiej wyobraźni.

Ileż to rzeczy istnieje między niebem a ziemią, o których się filozofom ani nie śniło!

Z DAWNYCH DZIEJÓW SZLĄSKICH.

(Z księgi ks. Weltzla).

Przy poświęceniu kościoła w Szurgoszczu podarował biskup z wiedzą kapituły szpitalowi tamecznemu dziesięcinę z Niewodnika, Golszowic, Białejwsi i Bogusławia. W tym samym roku podarował, na prośby księcia Kazimierza z Opola, zakonnicom Salwatora w Rybniku dziesięcinę z kilku wsi w Cieszyńskiem, dwie części dziesięciny z Polskiego Krawarza i dwie wsie, Raków i Lichan. Potem potwierdził dziesięcinę, którą dawniej podarował kościołowi P. M. w Rybniku, z Rybnika, Smolnej, Zalesia, Knieżenic, Zuzeli, Brzezia, Szczakowic, Pol. Krawarza, Rakowa, Lichan, Grudy, Frebla i myto ze Siewierza.

Kiedy biskup poświęcil kościół w Sławikowie, podarował kościołowi w Maciowiakierzu dziesięciny z tejże wsi, Uciskowa, Gogolina i Wólki. Przy poświęceniu kościoła w Makowie podarował mu dziesięciny zamku Makowskiego, Gamowa i Bogdanowa. W następnym roku poświęcił kościół w Oleśnie i potwierdził na prośbę księcia stare daniny mytne. Dowiadujemy się z tych dokumentów, że droga z Morawy do Kujaw prowadziła przez Olesno i że cło nowo zaprowadzone odbierano w Lubecku.

Kazimierz, który od pewnego czasu mieszkał w Opolu, przeniósł roku 1228, na prośbę konwentu, klasztór z Rybnika do Czarnowąsów i potwierdził własności klasztoru. Przytem podarował klasztorowi kilka wsi jeszcze, Biedrzychowice, Walce, Grochołub, Stradunę, Broszcze, Rudno, Żelazną, Dobryń, Dzielnice i inne.

1228 roku odbył książę w Rybniku zebranie ze swymi panami z kraju. Umówił się z hr. Klemensem, starostą Opolskim, że trzeba ogrodzić zamek w Opolu wyższym murem. Sprawę powierzono Wierzbencie, bratu starosty, który wydał na to 500 ówczesnych marek. Teraz książę, wynagradzając starostę za koszta, podarował mu kilka wsi nad Wisłą i Zator nad rzeką Sawą. Książę prosił synów starosty, aby mu oddali później Zalesie, które Klemens cedował księciu.

Klasztory miały swe dochody z miejsc bardzo odległych, czasem nawet miały dobra na własność w dalekich stronach. Klasztór Benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem posiadał wieś Orłów, a brał dochody z W. Gorzyc i Uchylska, dziesięcinę z ról położonych pomiędzy Koźlem a Rybnikiem, posiadał tam dwie karczmy i prawo jarmarczne w Bytomiu.

Kazimierz umarł r. 1229. Wdowa jego Wisła uwolniła razem ze synami swymi, Mieszkiem i Władysławem, Repty pod Bytomiem od ciężarów, jakie na nie nakładało prawo polskie, i dała biskupowi przywileje dla Kluczów za pomoc, jaką jej i synom udzielał w rządach kraju. Hrabia Zbrosław, kasztelan Opolski, podarował Ścinawę, która miała prawo jarmarków, biskupstwu wrocławskiemu. Mieszko II objął jako starszy brat księstwo Opolskie r. 1238, a Władysław z matką, która otrzymała Kalisz i Rudę, żyli w Poznańskiem. Mieszko pozwolił rycerzom św. Jana wybudować groblę w Makowie za Koźlem celem rybołóstwa i na prośby opata Henryka z Lubiążu, pozwolił im do Kaźmierza sprowadzić niemieckich kolonistów. Ożenił się z Judytą, córką księcia Mazowieckiego. 1239 r. podarował, będąc w Raciborzu, szpitalowi Ducha św. we Wrocławiu wieś pod Szurgoszczem według ostatniej woli ojca swego, a za zezwoleniem matki i brata, a mieszkańców wsi uwolnił od dawnych ciężarów. Potem potwierdził kościołowi św. Krzyża w Opolu darowizny swych poprzedników, rocznie 4 marki czystego srebra z mennicy w Opolu i prawo założenia młyna nad Odrą. Kościół w Opolu został w tym czasie kolegiackim. 1240 roku był książę w Makowie i pozwolił,

aby rycerze św. Jana zapisali go tam do swego bractwa, i dał im przywileje dla ich dóbr. Później wynagrodził ich za dobre uczynki dla chorych i ubogich i darował na Makowy prawo jarmarczne. Poddanych biskupich w Ujeździe, Gościencinie, Ścinawie zwolnił od obowiązku uczestniczenia we wojnach po za krajem. Pomyślność w kraju przerwali Żywili się mięsem i prosem, pili mleko końskie i krew, chleba nie byli zwyczajni. Na koniach nieosiodłanych lecieli jak strzała, jako broń mieli krzywe szable, łuk i strzały z długim końcem. Gdziekolwiek przyszli, palili wszystko, a ludzi bez miłosierdzia w pień wycinali. 1240 r. zdobyli Kijów, gdzie mieszkał książę ruski, Michał. Dowódzca ich,



Stroje ludowe na Górnym Szląsku.

Mongołowie, którzy wielką gromadą szli z Azyi środkowej i zalali jak rzeka wschodnią Europę. Już postać ich była straszliwa. Mieli krótkie, krzywe nogi, szerokie barki, kolor twarzy był brudno żółty, mieli tępe nosy, wargi jakoby nabrzmiałe, małe oczy w podługowatej oprawie. Odziani byli skórą w łuski szytą, której nie można było przebić. Batu, podzielił wojsko na dwie części, z mocniejszą częścią szedł na Węgry przez karpackie góry. Mniejsza część Mongołów szła na Polskę. Kiedy zdobyli Sandomierz nad Wisłą, podzielili się jeszcze raz. Jedna część posuwała się przez Sieradz, Łęczyce na Kujawy, potem nad Wisłą i przez Poznańskie do Szląska średniego. Druga część ciągła

wzdłuż Wisły do Krakowa, a zburzywszy miasto, ku Opolowi i Wrocławiowi. 2-go Kwietnia połączyły się obadwa oddziały mongolskie i szły na Lignicę. Tam szedł im mężnie naprzeciw Henryk II, kšiążę wrocławski, syn św. Jadwigi, lecz przegrał bitwę a życie stracił. Książę opolski też pociągnął ze swemi wojskami pod Lignicę razem z Bolesławem, księciem sandomirskim, lecz i jemu się nie poszczęściło. Król czeski, Władysław, stał ze swem wojskiem w Gubinie, chciał nazajutrz zaczepić Tatarów, którzy osłabieni starali się przedostać przez góry Kłodzkie, lecz kiedy te były obsadzone, wypoczęli przez dwa tygodnie w Odmuchowie, a potem szli na Racibórz, potem w Opawskie i zalali całą Morawę, którą zniszczyli. Ołomuniec obronił wódz czeski Jarosław. Z Morawy poszli Tatarzy do Węgier, gdzie się połączyli ze swym głównem wojskiem.

BEZ.

Różne rośliny stworzył Pan Bóg po części dla upiększenia ziemi i rozweselenia człowieka, a po części na pożytek człowieka, bo wszystko koniec końcem jest przeznaczone dla człowieka, którego Bóg ustanowił jako pana ziemi, naturalnie tylko niejako w swojem zastępstwie, jako włódarza; głównym panem pozostaje Bóg. Człowiek rozwesela się, patrząc na zielone drzewa i łąki i krzaki, na ich kwiecie i na kwitnące kwiaty i na pola obsiane i na owoce pól i ogrodu. Pożytek ma człowiek też wielki z roślin, ponieważ mu służą na wyżywienie, przyjemne pokrzepienie, a nawet leki.

Jednem z najpożyteczniejszych drzew lub krzewów jest b e z, wszędzie rosnący, który to ma najpierw białe pęki kwiecia, a potem czarne jagody. Bez ładnie wygląda, ma ładny liść, ładny kwiat, a rośnie bardzo szybko i bujnie, prawie na każdym gruncie. Przy każdej chałupie powinien być kierz bzu, ponieważ i cień daje i dobre z niego leki. Kwiecie, jagody, liście, kora, korzeń, wszystko można użyć na leki.

1. Kwiatki bzowe zawierają w sobie olejek, nieco garbnika, żywicę zieloną, białko, nieco siarki, nieco soli, kwaśne wapno i ślizgi sok. Z kwiatu bzowego robi się czyli naparza herbata. Znane to leki na poty, przez które wychodzą z człowieka niezdrowe soki, zastarzałe chorobliwe części. Dobrze leczą też niektóre rodzaje kurczy (krempfe). Czyści krew. Dla tego wiosną każdy powinien sobie urządzić kuracyą bzową na przeczyszczenie krwi. 4—5 gramów bierze się na 2 małe szklanki wody, parzy i pije rano naczczo szklaneczkę i przed spaniem wieczorem szklaneczkę, dodając nieco kwasu cytrynowego.

Można też sobie rano i wieczór naparzyć liścia bzowego, biorąc 5—7 listków pokrajanych, które się gotuje we wodzie. Kuracyi używa się 3—4 tygodni.

2. Z jagód bzowych robi się powidła z cukrem albo miodem. Powidła muszą być gęste, nie przypalone, a kiedy je się rozpuści we wodzie, to nie powinno być żadnego osadu. Łyżka powideł bzowych na szklankę wody, to miły i zdrowy trunek, który czyści żołądek i działa na nerki. Można powidła bzowe jeść z chlebem zamiast masła, mianowicie zimą służy to zdrowiu. Jagody bzowe suszone są dobre przeciw rozwolnieniu.

3. Kora i korzeń. Środkowa, zielona, wewnętrzna kora dwuletnich gałęzi, jako i korzenie gotowane we wodzie działają silnie na nerki, mianowicie u ludzi cierpiących na wodną puchlinę.

Sokiem z jagód bzowych można siwe włosy barwić na czarno. Już pewien pogański uczony, Pliniusz, pisze: W starym winie gotowane bzowe liście, albo korzeń, albo kwiecie, dwa razy na dzień szklaneczka, wypędzają wodę z

ciała. Dobre też to jest na świeże poparzenie, a kwiecie i liście pomięszane z mąką dobre, kiedy pies wściekły ukąsił człowieka. Liście najdelikatniejsze jedzone z oliwą i solą wyrzucają flegmę i żółć z żołądka. Maczaj liść i końce bzu we wodzie, a wodą skrapiaj izbę przeciw muchom i robactwu.

BYWAJĄ I TACY!

W miasteczku L. był sobie golarz, pan Brzytewka, bardzo znany obywatel. Właściwie nie był on golarzem, ale raczej wszystkiem innem: paniom przedstawiał się jako fryzyer, panom jako radzca piękności, a prostemu ludowi jako doktor, a miał do tego pewne prawa, bo wyrywał zęby, puszczał krew, przystawiał bańki, leczył nawet rozmaite choroby. Prócz tego na najrozmaitszych znał się sztukach; wypychał ptaki i inne zwierzęta, tresował ptaszki, grał na skrzypcach, basach i klarnecie i często wygrywał z muzykami wiejskimi na wesołach, jednem słowem: był to człowiek wszechstronny. Powodem do takiej wszechstronności jest zwykle interes, człowiek szuka wszelkimi sposobami jak najwięcej zebrać pieniędzy, dla tego korzysta z wszystkiego i zarabia, gdzie tylko się da. A że do takiego usposobienia potrzebny spryt i dowcip wrodzony, to rzecz naturalna, bo gapa ani sobie rady nie da, ani też nie pozyska zaufania ludzi.

Wielkim jego przyjacielem był Bartłomiej Gamza z Małych Głupczyc, wsi oddalonej o milkę od miasta. Bartłomiej nie tylko od czasu do czasu regularnie krew sobie kazał puszczać, ale szczególniejszy miał nadto przypadek z zębem.

Było to pod jesień, gdy przyszedł do pana Brzytewki z okrutnie spruchniałym zębem trzonowym, który mu nieznośny ból sprawiał, prosząc, aby mu go wyrwał. Pan doktor posadził Bartka na krzesło, wziął instrument do ręki, a że przez całą noc poprzednio wygrywał na weselu i jeszcze cokolwiek mu w głowie szemrało, więc się omylił i zamiast spruchniałego, wyrwał sąsiedni ząb zdrowy. Bartkowi z bólu jasność wielka stanęła przed oczami, i można sobie wyobrazić, jak się rozgniewał, gdy się przekonał, że zdrowy ząb wyrwany, a chory wciąż tkwi mocno w szczęce. Tymczasem pan Brzytewka nie stracił fantazyi.

— Ależ mój Bartłomieju, — powiada mu, — wy się na tem nie znacie. Musiałem koniecznie temu spruchniałemu kielcowi zrobić miejsce, bo ma okrutnie długie korzenie, inaczejbym go wcale nie mógł wyrwać. Przekonacie się sami.

Podczas gdy Bartek krew wypluwał, szepnął Brzytewka pospiesznie coś uczniowi na ucho i zabrał się do zęba spruchniałego. Uczeń wziął długą śpilkę i stanął za krzesłem, a gdy pan Brzytewka przysadził po raz drugi, a Bartek, któremu się zdawało, że cała głowa rozsadza się mu w kawałki, zaryknął jak niedźwiedź postrzelony, żgnął go uczeń w tej samej chwili śpilką w plecy, aż Bartek podskoczył wskutek podwójnego bólu.

— Oj prawda, panie doktor, — rzekł Bartek zapłakany, wyrzucając krew buchającą z ran w ustach — prawda, że musiał mieć okrutnie długie korzenie, kiedy mię aż w plecach zabolało!

Nieskończenie więc wdzięczny panu Brzytewce, zapłacił za dwa zęby, a pan Brzytewka zapytał, czyby mu nie mógł dostarczyć dziesięć mędli kapusty. Bartek przyrzekł mu je i przywiózł za tańszą nawet cenę.

Brzytewka miał kapustę, ale Bartek nie miał za nią zapłaty, bo pan doktor właśnie nie był przy pieniądzach, ale obiecał wnet dług zapłacić, na co Bartek chętnie się zgodził.

Tymczasem upływały tygodnie, pan Brzytewka zapomniał zupełnie o kapuście, chociaż codziennie ją smacznie zajadał. Bartek też kilka razy był u pana doktora, ale ten, gdy był w domu, tyle zawsze miał zajęcia albo natychmiast musiał biedz do niebezpiecznie chorego, że Bartek w żaden sposób nie miał czasu przypomnieć o należytości za kapustę ani też tego uczynić nie śmiał.

Nadeszło lato, kapusta była zjedzona, a Bartek w coraz większej obawie o swoje pieniądze. Wybrał się więc do miasta, aby na dobre upomnieć się o swą należytość. Pan doktor nie miał właśnie żadnego zatrudnienia, bo stał przy oknie otwartem, gdy go Bartek spostrzegł. Uradowany, że w tak dogodną przychodzi porę, wszedł Bartek do izby, ale zadziwił się niemało, gdy ujrzał przerażoną twarz pana Brzytewki.

— Na Boga, Bartłomieju, co wam to? — zawołał tenże. — Jakże możecie z tak napuchłą głową chodzić tak nieostrożnie po dworze!

— Co? Ja mam napuchłą głowę? Przecież ja nic nie czuję! — zawołał Bartek wystraszony.

— No, zobaczcie sami, jeżeli nie wierzycie, — odrzekł Brzytewka, trzymając mu tuż przed twarzą powiększające zwierciadło.*)

Bartek spojrzał i z przerażeniem ujrzał w okropny sposób powiększoną swą twarz.

— O la Boga! — zawołał, — ady ja mam głowę, jak wiertel!

— Źle z wami, Bartłomiej, — rzekł mu teraz pan doktór, — macie różę w najwyższym stopniu rozwiniętą. Musicie koniecznie całą głowę owiązać ciepłemi chustkami i natychmiast pojechać do domu.

Natychmiast zawinął się Brzytewka, wydobył kilka wełnianych chustek, owinął niemi całą głowę Bartka, że tylko kawałek nosa wystawał, dał mu jakieś niewinne lekarstwo, kazał cały tydzień leżeć w łóżku, pić rumianek i pocić się bez przestanku, bo inaczej będzie musiał umierać. Ostatecznie umieścił go na wozie, owinął derami i odesłał do domu.

Można sobie wyobrazić, jak się Bartka żona przelękła, ujrzawszy męża w takim stanie.

— Małgosiu — jęczał Bartek, — rozbierz mi łóżko i ugotuj rumianku — jestem niebezpiecznie chory, mam różę!

Zagrzebany w pościeli Bartek przeleżał cały tydzień, pocąc się jak mysz, bo śmierć grożąca zawsze mu stała na oczach. Potem wstał i ostróżnie począł zdejmować chustki, któremi przez tydzień wciąż był owinięty. Teraz zauważyła Małgorzata, że puchlina już minęła, a i Bartek czuł się tak zdrowym, że w drugim tygodniu pojechać mógł do miasta.

Udał się wprost do pana Brzytewki, który teraz sam rozpoczął o tem, że chce zapłacić, ale Bartek ani o tem słuchać nie chciał. Z wielkiej wdzięczności skwitował go z długu, nadto przywiózł mu jeszcze cały połeć słoniny, a oddawając dery i chustki, zaręczał:

— Tak, tak, panie doktór! Żeby nie pan doktór, nie byłbym już dziś przy życiu. Pan tylko wybawił mię od śmierci. Teraz, dzięki Bogu, czuję się zupełnie zdrowym i okrutny mam apetyt po tej chorobie!

*) Są zwierciadła, które każdą rzecz w nich się odbijającą bardzo powiększają a znów są inne, które zmniejszają.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Górnoszlązaczka i Arabka. Mówią: co kraj, to obyczaj! Możnaby dodać: im odmienniejsze zwyczaje, tem większa różnica między inteligencyą ludów. Nasze obrazki na str. 245 i 253 przedstawiają dwie kobiety: Arabkę i Górnoszlązaczkę. Ta ostatnia, będąc Europejką i chrześcianką-katoliczką, nie potrzebuje sobie zakrywać twarzy jak Arabka, bo ją wyzwoliła i uszlachetniła boska religia Jezusa Chrystusa; patrzy śmiało w świat, bo wie, że jako człowiek jest każdemu równą. Inaczej Arabka. Poniżona przez własną religią mahometańską, która jej nie przyznaje prawa do nieba, w wiecznej żyjąc niewoli i zależności od mężczyzny, może się tylko ukazywać światu z zasłoniętą twarzą, przepędzając zresztą całe życie w ścisłem odosobnieniu od niego. Obraz Arabki i Araba, przedstawionego w numerze 14 »Światła« — i Górnoszlązaczki, to przeciwstawienie Azyi do Europy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

W jaki sposób zwierzęta szerzą choroby zaraźliwe?

W ostatnich czasach przekonano się, że pewne choroby powstają skutkiem przedostania się grzybków zaraźliwych ze zwierzęcia do człowieka. Do takich należy choroba bardzo rozpowszechniona na Islandyi, gdzie mieszkańcy utrzymują znaczną ilość psów. Jajka solitera tego zwierzęcia dostają się do kanału pokarmowego i za pośrednictwem krwi zajmują mózg, żołądek, wątrobę, gdzie tworzą chorobliwe nabrzmienia. Pomijamy wiele innych chorób i poświęcimy słówko zabójczyni dzieci, błonicy, mogącej również przedostać się do nas ze zwierząt domowych.

Bardzo ciekawe w tym przedmiocie są badania lekarza Emmericha z Monachium. Podczas grasowania błonicy we Francyi i Niemczech, w rodzinie, leczonej przez lekarza, w ciągu czterech tygodni czworo dzieci padło ofiarą choroby, starsze zaś osoby wyzdrowiały. Najprawdopodobniej przyczyna choroby znajdowała się w sypialni. Emmerich dowiedział się, że dzieci miały zwyczaj bawić się gołębiami. Zaczął je badać i wykrył w nich obecność grzybka, jaki niejednokrotnie znajdowano u osób dotkniętych błonicą. Ilekroć przeszczepiał grzybek z ludzi na gołębia lub z gołębia na ludzi, błonica pojawiała się niezawodnie. Podobne doświadczenia powtórzył na królikach, myszach i za każdym razem z tym samym skutkiem. Ztąd wniósł, że błonica wspólna jest gołębiom i ludziom, że powstaje skutkiem obecności jednednego i tego samego grzybka, mogącego z łatwością przedostać się z ptaka do człowieka. Jak widzimy, ów gołąbek niewinny, będący przedmiotem pieszczot tylu osób, może w wielu razach udzielić chorobę fatalną, zwłaszcza dla dzieci. Postępując dalej, Emmerich wykrył obecność zarazka błonicy w kurach, cielętach i sprawdził wypadki, w których choroba przedostawała się od nich do ludzi.

Bardzo ważnemi w tej kwestyi są prace tego uczonego, mające na celu przekonanie się, czy bakterya błonicy może rozwijać się w mleku i tą drogą dostawać do naszego organizmu. Wiadomo, że suchoty dostać się mogą od krów, jeżeli używać będziemy na pokarm mleka surowego, pochodzącego od zwierząt dotkniętych tą chorobą. Z tego względu lekarze radzą wszelkie mleko podejrzanej natury przegotowywać, w temperaturze bowiem wrzenia bakterye tracą żywotność. Dlaczegóżby więc i błonica nie mogła dostawać się do budowy ciała naszego tą samą drogą? Mleko zwierząt, grające tak ważną rolę w karmieniu dzieci i chorych częściej niż myślimy, jest rozsadnikiem najrozmaitszych chorób. Nie mówimy o mleku umyślnie sfałszowanem, ale o tem, które już w budowie ciała samego zwierzęcia nabrało chorobliwych własności. Skutkiem karmienia krów podczas lata paszą zieloną mleko może się stać nawet trującem i przyczynić się w wysokim stopniu do powiększenia śmiertelności dzieci w wieku niemowlęcym.

Podczas zarazy błonicznej, szerzącej się w straszliwy sposób w maju i czerwcu 1878 roku w dzielnicach Londynu, przekonano się, że przyczyną epidemii było mleko krowie używane na pokarm. Lekarz Power, któremu polecono zbadanie źródła choroby, wykrył, że prawie wszystkie rodziny dotknięte nią piły mleko z tej samej fermy. Kiedy też mleko zaczęło się rozchodzić i w innych dzielnicach Londynu, epidemia pojawiła się natychmiast we wszystkich domach używających nabiału ztamtąd. Fakt ten dowodzi wymownie, że i mleko może się stać rozsadnikiem grzybka i dać początek epidemii.

Emmerich wykazał wreszcie, że bakterye błonicy, jako też wielu innych chorób zaraźliwych ukrywają się w podłogach naszych mieszkań, pomiędzy sufitami. Dyfterytys zwłaszcza jest chorobą czysto domową. Nie przeszkadza to jednak przedostawać się jej i do zewnątrz za pośrednictwem zwierząt, z któremi obcujemy najczęściej.

Praktyczne rady.

— **Gulasz węgierski.** Gulasz węgierski jest to po prostu rodzaj bigosu z surowego wołowego mięsa, przesyconego pieprzem czerwonym, papryką zwanym. Miękkie, drobne kawałki surowego mięsa rozbić dobrze, włożyć w rondel, w którym roztopiono stósowną ilość łoju wołowego, poddusić nieco pod pokrywą, przyłożyć dużo pokrajanej w plasterki cebuli, podlać wodą i znowu dusić, w końcu gdy widać, że miękkie, wsypać tłuczonego pieprzu czerwonego lub białego, nieco angielskiego ziela, posolić i znowu raz zagotować; w czasie duszenia zaś ciągle po łyżce wody podlewać dla skruszenia mięsa. Sos powinien być gęsty, a gęstość ta powinna bez zaprawiania mąką z samego soku mięsnego, cebuli i pieprzu się utworzyć.

— **Bardzo prosty środek przeciw zdenerwowaniu i bezsenności.** Niedawno udało się pewnemu doktorowi francuzowi przypadkowo znaleść bardzo prosty środek przeciw bezsenności. Doktor przez jakiś czas cierpiał na nerwy i bezsenność, a wszelkie środki, jakich używał, okazywały się bezskutecznymi. Razu pewnego, gdy podczas nocy bezsennej przechadzał się po pokoju, spostrzegł stojący słój z miodem i przyszła mu ochota zjedzenia kilku łyżek. Następnie niezwłocznie położył się do łóżka. Okazało się, że usnął prawie w tej samej chwili. W ciągu dni następnych próbował tego samego środka i za każdym razem zasypiał bardzo prędko. Prócz tego stwierdził, że miód dobrze oddziaływał na uspokojenie nerwów.

— **Na ukąszenie os i pszczół** skuteczna jest cebula czerwona

rozkrajana świeżo i przyłożona na świeżą rankę. Europejczycy w Birmanii używają tego środka skutecznie na leczenie ran zadanych żądłem żmii i skorpionów.

— **Aby objętość ziemniaków powiększyć**, trzeba łodygi ich obcinać do 6 centimetrów; tak postępując ziemniaków drobnych będzie mniej, ale za to te, które pozostaną, będą znacznej objętości.

Rozmaitości.

* **Kuchnie elektryczne.** Z Chicago piszą: Do niedawna jeszcze projekt urządzenia zbiorowych kuchni w domach za pomocą elektryczności uważany był za niemożliwość. Obecnie jednak na wystawie projekt ów został urzeczywistniony. W północnej części budynku, poświęconego wystawie elektrycznej, umieszczono kuchnią elektryczną. Na zwyczajnym stole, okrytym obrusem, staje czarno malowana skrzynka i na drugim stole trzy czarne płyty i kilka naczyń ołowianych, połączonych zielonym sznurem z przewodnikiem elektrycznym. Na pierwszy rzut oka przyrząd cały podobny jest do pracowni elektrycznej. Pomiędzy godziną 11 a 12 po południu około tego laboratoryum uwija się murzyn w zwykłym ubiorze kucharskim (murzyni uchodzą w Ameryce za najlepszych kucharzy). Przyjemny zapach rozchodzi się w około; murzyn wyjmuje z czarnego pudła wybornie upieczonego indyka. Mamy więc przed sobą »kuchnią przyszłości,« a ręczą za jej rozpowszechnienie. Blacha kuchenna, ogrzewana za pomocą drzewa lub węgla, należy w Ameryce do przeszłości, wszędzie bowiem jest tu w użyciu gaz. Oszczędza on najmowanie składu na węgiel lub drzewo, a co najważniejsza, wytwarza w kuchni temperaturę względnie umiarkowaną, w której można od biedy przebywać nawet podczas ogromnych upałów amerykańskich. Kuchnia elektryczna jest właściwie zbiorem elektrycznych garnków, podobnych zupełnie do zwyczajnych, z tą różnicą, iż przez dno każdego przeprowadzono drut elektryczny. Są to więc garnki do gotowania wody, zupy, kawy, herbaty i t. d. Dna wewnątrz inaczej są urządzone niż w zwyczajnych garnkach, gdyż składają się z emaliowanej płyty żelaznej, przeciętej mnóstwem żelaznych drucików, po których przebiega prąd elektryczny wywiązujący ciepło. Na skrzynce znajduje się termometr, który pozwala kontrolować c i e p ł o wewnętrzne. Chcąc gotować na tej kuchni, trzeba tylko nacisnąć druty.

* **Największy dyament.** Sława Kohi-Noorów, Regentów, Orłowów, oraz innych niezwykle pięknych i dużych dyamentów zblednąć teraz musi wobec olbrzyma, nowo odkrytego w Afryce południowej w wolnem państwie Orange. W dniu 30-go Czerwca Kafer pewien, rozmawiając z dozórcą, spostrzegł, że w pobliżu świeci się coś na ziemi. Przykrył to stopą, a gdy dozórca odszedł, odgrzebał ogromny kamień wysokości około 3 cali, szerokości około dwóch. Waga jego wynosi 971 karatów. Cena przewyższy wszystko, co dotąd płacono za dyamenty. Kafer sam później oddał to przedsiębiorcy. Otrzymał w zamian 3000 marek, konia i siodło i w uszczęśliwieniu ogromnem powrócił do domu.

Ciekawem jest, że jakieś towarzystwo dzierżawiło kopalnię z prawem kupowania na wagę wszelkich kamieni. Umowa kończyła się 30-go Czerwca b. r., zaś olbrzymi ów dyament był ostatnim prawie kamieniem, znalezionym dnia tego. Właścicielom ofiarowywano już za niego 1,000,000 marek, sądzą jednak niektórzy, iż cena dojdzie do 10.000,000 marek. Kamień odznacza się barwą biało-niebieską i jest prawie zupełnie czysty. Znajduje się na nim mała plamka czarna, która, jak zapewniają, zniknie przy ślufowaniu. Obecnie kamień znajduje się w Londynie.

* **Kanał koryncki.** Dnia 6-go b. m. dokonano znowu jednego dzieła niepospolitego znaczenia dla ż e g l u g i międzynarodowej, otwarto kanał Koryncki. Okręty jadące z morza Śródziemnego w kierunku do Konstantynopola, musiały dotychczas w wielkiem półkolu okrążać przylądek Matapan, najbardziej na południe wysunięty przylądek europejskiego kontynentu, co ze stratą czasu i niebezpieczeństwem było połączone. O przekopaniu Istmu myślano już w starożytności, mianowicie przed 2.520 laty tyran Koryntu Periander, później cesarze rzymscy Klaudyusz, Kaligula i Neron. Zawsze jednak usiłowań rozpoczętych nie doprowadzono do skutku. Później około roku 1.500 po Chrystusie podjęto na nowo tę myśl, jak dowodzą akta archiwów weneckich, ale napad Turków i tym razem pracom przeszkodził.

Po otwarciu kanału suezkiego postanowił generał T ü r r, przyjaciel Ferdynanda Lessepsa, dokonać przekopu przesmyku korynckiego i zawiązał w tym celu towarzystwo akcyjne. Prace rozpoczęto w Maju 1882 roku i były już na najlepszej drodze, gdy w skutek krachu roku 1890 towarzystwo uległo likwidacyi. Jeszcze tego samego roku powstało nowe towarzystwo, które prace szczęśliwie doprowadziło do zamierzonego wyniku. Te same olbrzymie maszyny, których używano przy przekopywaniu Suezu, pracowały przy koryncklm Istmie, obsługiwane przez 2.000 włoskich i greckich robotników.

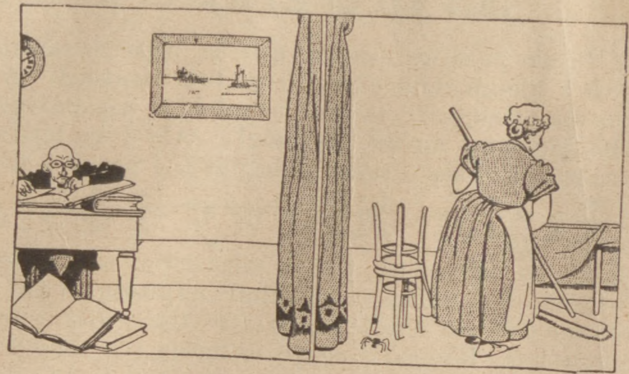
Kanał ma 6.320 metrów długości, 22 szerokości i 8 głębokości, zatem co do dwóch ostatnich wymiarów odpowiada zupełnie k a n a ł o w i suezkiemu. Żegluga jest łatwa i bezpieczna, ponieważ po obudwu stronach kanału morze z reguły jest spokojne, 200 do 300 mtr. głębokie.

Wskutek kanału skróci się droga morska z Adryi do Piräus'u o 185 mil angielskich, z morza Śródziemnego zaś o 95 mil angielskich. Brzegi kanału łączy żelazny most kolei, idącej z Patras do Aten.

* **Najludniejszym z miast amerykańskich** jest obecnie Chicago. Ma ono według miejscowych wykazów 2,160,000 mieszkańców czyli 400.000 więcej niż Nowy Jork.

Polowanie na pająka.

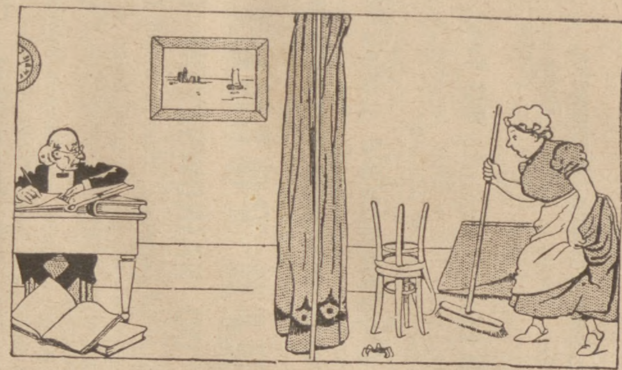
1.



Służąca (zamiatając): Trzeba się zabrać do uprzątnięcia; tem lepiej, że pana profesora nie ma w domu.

Pan profesor tymczasem w drugim pokoju siedzi i pisze.

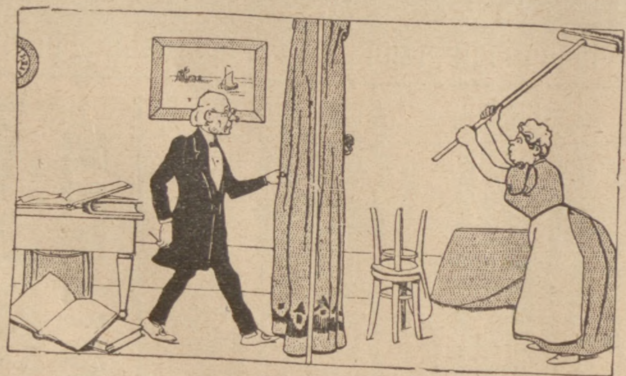
2.



Służąca: Co widzę, pająk! Czekaj, bratku, już ja cię sprzątnę; tylko ostróżnie!

Profesor: Zdaje mi się, żem słyszał jakiś szmer w drugim pokoju; ktoby to mógł być?

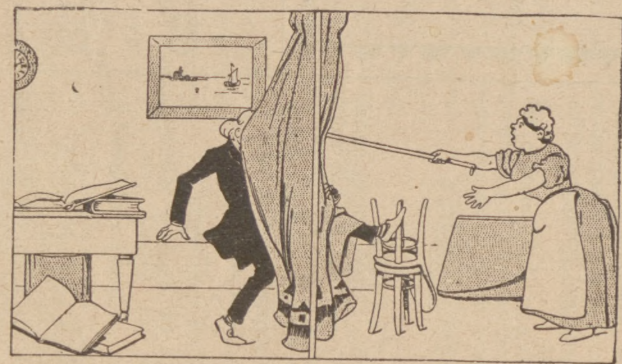
3.



Służąca: Uciekasz na zasłonę? Poczekaj, nie ujdziesz mi!

Profesor: Muszę iść się przekonać, boć wyraźnie ktoś tam chodzi.

4.



Służąca (machnąwszy szczotką): Oto masz!

Profesor: Rabusie, złodzieje! Mordują mnie! Pomocy!

ŻARTY.

Dosyć już wyrzutów.

Sędzia: Dziwi mię tylko, oskarżony, że nie zabraliście z kasy także sakiewki napełnionej pieniędzmi, tylko same klejnoty.

Oskarżony: Ach, niechże mi pan sędzia jeszcze nie robi wyrzutów. Już żona dosyć się za to na mnie nagniewała.

To zależy.

A. A więc dziadek pański umarł, licząc blisko 90 lat. Czy do końca miał umysł przytomny?

B. Tego jeszcze nie wiem. Testamentu jego jeszcze nie otworzono.

Nasi żydkowie.

Szmul: Nie wiesz ty Mosiek, co robi Hersz?

Mosiek: Ach waj mir! dostał 25 kijów.

Szmul: Ny, a to za czemu?

Mosiek: Za ratuszowi!

Szmul: Ale na co on dostał kijów?

Mosiek: Na pod plecy!

Szmul: Ale ja się pitam, bez co jego położyli i dali mu kijów?

Mosiek: Bez ławkę!

Szmul: Aj waj, durny Mosiek; ja się pitam, co wun zrobił?

Mosiek: Ny, on ksiciał gewalt!

W sądzie.

Sędzia: Oskarżony, czy masz jeszcze przytoczyć co na swoję obronę?

Oskarżony: Tak, panie sędzio; mój obrońca jest bardzo młodym i niedoświadczonym adwokatem, a zatem skazanie mnie mogłoby zaszkodzić jego praktyce.

W biurze dwaj urzędnicy sprzeczają się z sobą. Naczelnik, słyszący spór z przyległego gabinetu, wstaje z zamiarem przywrócenia spokoju.

— Nie widziałem większego ciemięgi od kolegi! — woła jeden ze sprzeczających się.

— Czy nie widzisz pan, że ja tu jestem! — odzywa się z powagą naczelnik.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.